

Imre Thormann

Księżycowy krajobraz w zebnę

Wielki wybuch w wannie

Przed rokiem zaproszono mnie ze spektaklem „Enduring Freedom“ na pewien festiwal we Francji. Warunki były wspaniałe: świetna gaża i zakwaterowanie w hotelu. Przywykłem, że zwykle jest inaczej. Spakowałem więc swoje jarzeniówki i w dobrym humorze ruszyłem w drogę. Kostium, w tym wypadku czarny garnitur i kapelusz, miałem już na sobie. Nie lubię podróżować z dużym bagażem i często bawię się w zacieranie granic. Mój spektakl zaczyna się zatem już w trakcie podróży.

Czterogodzinną jazdę pociągiem spędzam w pozycji stojącej. Ten nawyk przyswoiłem sobie w Tokio. Staję tak, aby jak najmniej rzucać się w oczy, twarzą do drzwi, tak jakbym z zainteresowaniem wyglądał przez okno. Nie przytrzymując się niczego rękoma, niewielkimi ruchami przeciwstawnymi niweluję kołysanie pociągu i bronię się przed utratą równowagi. Najważniejsza jest przy tym prawidłowa praca nóg. Ale również tułów powinien być bardzo elastyczny, tak by nie blokować impulsów. Za cenę biletu kolejowego dostaję więc masaż całego ciała, a przy okazji trenuję utrzymanie równowagi oraz koordynację drobnych ruchów.

Po przyjeździe do hotelu z radością odkrywam, że mam nie tylko własny prysznic, ale nawet łazienkę z wanną. Nie wiem, kiedy ostatni raz miałem okazję z takowej skorzystać, ale jak nic minął rok, jak nie dwa lata. Cieszę się więc jak dziecko, że po spektaklu zanurzę się w gorącej wodzie.

Wyczerpany po pierwszym spektaklu zabieram się za przygotowanie kąpieli. Jeszcze tylko obfitym strumieniem wody spłukać do odpływu jeden jedyny włos łonowy poprzednika albo poprzedniczki. Muszę przykłęknąć, żeby włożyć korek w przeznaczone do tego miejsce. Kiedy moja głowa niemalże całkowicie zanurza się w wannie, dostrzegam w jej dolnej części, tam gdzie cztery ściany spotykają się z dnem w eleganckim sklepieniu, osobliwe kolorowe odcienie. Po dokładniejszych oględzinach wspomniane miejsce okazuje się być księżycowym krajobrazem w zebnę.

Zwykle, także dlatego że nie nawykłem do takich luksusów, nie przejmuję się takimi szczegółami. Tym razem jest inaczej. Czy to moje zmęczenie czy arogancja, która

uderzyła mi do głowy w tym jakże bogato wyposażonym hotelu, który za pomocą tej łązienki dostosowuje się do burżujskich marzeń swojej klienteli? Marzenie o kąpeli gwałtownie pryska. Moje alter ego wspina się na barykady i zapalczywie wzbrania się przed zanurzeniem swoich kości w tym brudzie. Tym razem nie zadowolisz się byle czym, złożysz reklamację w recepcji, wyegzekwujesz swoje prawo do czystej wanny, prychnie jakiś głos z zakamarka mojej czaszki.

Jestem przyzwyczajony, że po spektaklu miewam rozmaite nastroje, ale ta reakcja zdumiewa nawet mnie samego. Trochę niezdarnie sięgam po pierwszy lepszy ręcznik, nacieram go mydłem i zabieram się za rzeźbione miejsce. Nic nie pomaga. Ale zaczynam pojmować, jak ten księżycowy krajobraz powstał. Wielokrotnie podczas mojej zawodowej drogi najmowałem się jako sprzątac. Jestem więc że tak powiem z branży. Widzę to dokładnie oczami mojej wyobraźni. Pod samym brzegiem wanny wyciska się naprędce poziomą strużkę środka czyszczącego, czeka się aż wszystek spłynie w dół, tak aby agresywny środek wżarł się dobrze w bród, a potem kieruje się po prostu strumień wody z prysznicą i polewa przez chwilę. Nie ma mowy o jakimś tam schylaniu się, a co dopiero o szorowaniu ścianek.

Moja złość na cały ten mieszczański świat pozorów przybiera groźną formę. Biorę prysznic i sfrustrowany kładę się spać w o wiele za dużym łóżku z czterema poduszkami i grubym na metr materacem. Wypoczęty i wyspany z okraszonym udawaną uprzejmością uśmiechem przemykam pochylony obok recepcji, aby rzucić się na obfity bufet śniadaniowy. Na przekór swoim zwyczajom wrzucam jajko do przeznaczonego w tym celu garnuszka. Tylko klepsydry nie zabieram ze sobą do stolika.

Wyczerpany po drugim spektaklu z pewną nieśmiałością kieruję zmęczone kości do hotelu. Może trochę za bardzo przejąłem się tą sprawą z wanną. Pewnie byłem trochę rozdrażniony. Zaczynam mieć nadzieję i już myśli pędzą w kierunku wytęsknionej wanny. Próbuję przy innym świetle: możliwości uniknięcia ewentualnych cieni jest bez liku. Klękam przy wannie, wkładam do niej głowę i natychmiast go widzę, ten księżycowy krajobraz w zebnię. A więc to prawda. Rzygać mi się chce. Ten hotel, festiwal, to miasto. To wszystko jeden wielki obleśny Disneyland. Gilotyna opada, odłączona od tułowia głowa toczy się do wanny. Podnoszę się wyprowadzony z równowagi. Pod prysznicem z rezygnacją myślę o tym, czyja głowa powinna się potoczyć.

Denuncjację przekładam jednak na kolejny dzień i idąc na śniadanie po czerwonym dywanie, odwzajemniam nieszczerze uprzejmy uśmiech z recepcji. Jajko już samo z siebie wślizguje się do wrzącej wody, klepsydry jednak znów nie zabieram do stolika.

Kiedy po trzecim i ostatnim spektaklu, z całym bagażem docieram wreszcie do hotelu, pragnę już tylko wziąć tę jedną gorącą kąpiel i zdaję się być gotowy na niejedno ustępstwo. Więc po raz trzeci klękam przy wannie. Tym razem nagusieńki, kładąc po przyjacielsku ramię na jej zimnym brzegu, a przekrzywioną głowę na ramieniu, reszta ciała, niczym zegar Dalego, rozlewa się po marmurowej posadzce.

Rozmarzone i wyczerpane oczy zawieszają się na krajobrazie księżycowym, podczas gdy palce lewej dłoni zaczynają beztrąsko przy nim majstrować. Wkładam kciuk do ust i ośliniwszy go pocieram paski zębry. Najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Między kciukiem a krajobrazem księżycowym robi się gorąco. I co się okazuje! Między tymi jakże odmiennymi powierzchniami pojawiają się małe czarne robaczki. Z triumfem unoszę kciuk do góry, jakbym chciał go komuś pokazać. Na opuszcze jako dowód, małe czarne robaczki, temperaturą i tarcieciem wprawione w wirujący taniec.

Wymeldowując się jutro, wysmarujesz tym syfem ładę w recepcji, prychna znów głos w mojej czaszce. Natomiast smętnie zwisające ciało przekornie chce się podnieść i z determinacją sięgnąć po prysznic. W tej chwili odsłania się ostatni rąbek tajemnicy i objawia się prawdziwa przyczyna powstania księżycowego krajobrazu. Znajduje się dokładnie tam, gdzie po wejściu do wanny brudne pięty całym ciężarem naciskają na sklepienie.

Ciało, ledwie co przebudzone ku nowym czynom i nakarmione nowymi pokładami sił natychmiast opada jak pusty worek. Jak na umówiony sygnał pojawiają się... wszyscy, którzy przede mną leżeli w tej wannie. Wszyscy, podróżni, mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, kochankowie i desperaci. Wszyscy nagle tutaj są. Swoją własną śliną przetarłem się właśnie przez ich byty. Musiały ich być setki, a nawet tysiące. Widzę ich twarze, słyszę ich głosy. Widzę ich nagie członki wijące się w wannie.

Zegar Dalego ostatecznie przejmuje kontrolę nad moim bytem. Nie jestem zdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji, natomiast moja ręka instynktownie chwyta za kran jakby chwytając się ostatniej deski ratunku. Woda z pluskiem leje się w dół.

Księżycowy krajobraz znika centymetr za centymetrem pod krystaliczną powierzchnią. Przerrywam strumień, tak aby krajobraz przykryło jedynie kilka ciepłych i czułych centymetrów wody. Nie chcę go zbyt mocno rozcieńczyć. Wiadomo dokładnie, co teraz nastąpi, i całkowicie pewne, że tak właśnie się stanie. Już tylko ja nie mam zielonego pojęcia, jak i czy w ogóle będę do tego zdolny, jak mam wkroczyć na tę powierzchnię, a co dopiero ją przebić. Odzyskawszy siły wstaję i opierając się na sztywnych, zimnych nogach wpatruję się w nią jak samobójca patrzący ponad rafą na swą zagładę. Muszę tam wejść. Podążając za palcami stóp, z opuszczoną głową popycham ku niemożliwemu swoje ciało wsparte o brzeg wanny już tylko na ramionach, a pierścieniowate fale porywają księżycowy krajobraz do tańca. Światła załamują się i rzucają na gołe ściany tysiące migotliwych twarzy. Wszyscy się we mnie wpatrują. W przejmującej ciszy.

Wreszcie udało mi się uklęknąć, jak przed szafotem albo ołtarzem, albo w samodzielnie wykopanym grobie, nieruchomieję jak kamień. Palce uwalniają mnie z tej uroczystej, nawet uroczej, ale za sprawą ciszy i absolutnego posłuszeństwa nieznośnej sytuacji. Dłonie, które przez chwilę spoczywały na udach tuż pod powierzchnią wody, przesuwają się wzdłuż ciała niepostrzeżenie w dół. Tam natrafiają niechybnie na teraz już na skutek ciepła nieco lepki księżycowy krajobraz w zebłą.

Zgięty wierzch dłoni, pełen czci, delikatnie, jakby nieumyślnie, łasi się do pierwszego nieśmiałego kontaktu. Tak jak do obcego psa wystawia się najpierw wierzch dłoni na spotkanie z mokrym nosem, żeby nie ryzykować palców. Minąwszy kolana, moje ręce symultanicznie zmieniają kierunek i przesuwają się do przodu z szeroko rozcapierzonymi palcami i otwartymi dłońmi, ostrożnie obmacując płaskorzeźbę księżycowego krajobrazu. Niczym teksty zapisane brajlem pod opuszkami palców przepływają dawno minione wrażenia niezliczonych bytów. Ręce ocierają się o wszystkie ich członki i zanurzają w morzu skondensowanych bytów. Przyczepiona do nich reszta ciała niechybnie zostaje pociągnięta za nimi pod wodę.

Żeby nie utonąć w sposób godny pożałowania, w ostatnim momencie obracam się wokół własnej zgiętej osi, ześlizguję w dół i wreszcie przesuwając się na boku do przodu ląduje lekko wygięty jak niemowlak na plecach brzuchem do góry. Ani się obejrzałem, fale opadły, napięcie też i kończyny jeszcze chwilę temu wciągające mnie bezlitośnie pod wodę, zapewniają mi oparcie i ratują mnie przed utonięciem. Akt uwolnienia i rozkosz lądowania w dobrych rękach powodują, że do oczu

napływa sól, podczas gdy ja w uroczystej ciszy pływam po księżycowym krajobrazie.

Nie jestem zdolny wykonać choćby najmniejszego ruchu, oczy zdają się być ostatnią częścią ciała, która jeszcze trzyma moją stronę. Z ich pomocą gładzę po omacku, szukając oparcia, obce mi członki. Na wysokości mojego członka albo członka kogoś innego, z siłą wulkanu rozlewa się niekończący się orgazm i przyszłe brudne pięty toczą się po ścianie wanny w górę. Wreszcie pozbawiony resztek swego własnego ja rozpuszczam podmiot w śluzowatej zupie, palcami stóp udaje mi się jeszcze wyjąć korek i wszystko spływa w odwrotnym kierunku.

Moje zimne żałosne szczątki telepiąc się wypełzają z wanny, nie omieszkawszy ostatkiem sił wcisnąć pięt w sklepienie. Bez prysznic, bez wycierania się, w dygocie, nagi wycofuję się do łóżka, unosząc ze sobą drogocenną wodę zwisającą z ciała. Dobroczyne ciepło uwalnia mnie i unosi w sen.

W poczuciu ulgi, że nie będę musiał składać reklamacji, naznaczony piętnem nocnej kąpieli, unikając wzroku recepcjonistów, przemykam na śniadanie. Tym razem zabieram ze sobą także klepsydrę. Mam trzy minuty. Piasek, symbol i produkt rozpadu, przesypuje się powoli ale posłusznie przez krótkie przewężenie, łączące ze sobą dwa zbiorniki. Wpatrzonym w nie oczom znowuż ukazuje się wanna. A nawet dwie wanny połączone odpływem. Jedna otwarta ku górze, druga ku dołowi. Drobniutkie ziarenka piasku naciskają jak pięty wokół małego otworu. Tam na końcu albo na początku jednego bądź drugiego zbiornika zostawiają swoje ślady, w oczekiwaniu, aż spadną. Ślady, które przez tarcie i nacisk zmieniają się w czarne, wijące się, tańczące robaczki. Między tymi dwoma zbiornikami, wciśnięta w krótkie przewężenie, gęstnieje chwila. Utworzona z niezliczonych śladów, które jak zakurzone pajęczyny w gorącym kominie, trzepoczą w rytmicznych wibracjach. Wydarzenia przelatujące przez nie albo pozostające na ściankach jako wspomnienia wprawiają je w ruch i nadają dźwięk chwili. Jej echo rozbrzmiewa w obu zbiornikach jak niekończący się wielki wybuch w światach równoległych.

Trzyminutowe jajko zdążyło się już zamienić w jajko wielkanocne. Kładę je na kanapkę, czym prędzej się wymeldowuję i wyjeżdżam z Disneylandu. Czterogodzinną podróż pociągiem spędzam, surfując na piętach. Nacisk zbiornika pode mną kartkuje mnie wściekle jak wiatr strony otwartej książki. Litery jak ciskane fale mieszają się, wibrując w rytmie wybijanym przez pociąg, i

przeobrażają w spiralne twory. Mijany krajobraz przesypuje się i zostaje w tyle.

Tłumaczenie Iwona Nowacka